KONSTYTUCJA 3-go MAJA



OBRAZEK SCENICZNY

Na tle powieści J. Bernatowicza ułożył Ks. A. Syski

WYDANIE DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO

347

OSOBY:

1. ŻYD, — Karczmarz.
2. PIEPRZNICKI, — Mieszczanin.
3. WITHOF, — Mieszczanin.
4. MORSZAŃSKI, — Szlachcic, Chorąży Branickiego
5. STEFAŃSKI, — Szlachcic, kolega Morszańskiego.
6. MACIEJ ZAWODA, — Szlachcic.
7. JĘDRZEJ WARCHOŁ, — Szlachcic.
8. POGORZELSKI, — Szlachcic. .
9. STACH, — Syn Zawady.
10. JAGNA, — Córka Warchoła.

AKT I.

(Scena przedstawia wnętrze winiarni w Warszawie. Coś w rodzaju bary w głębi. Stoły i ławy wokoło. W kącie przy stole siedzi dwóch mieszczan, a żyd ich obsługuje).

ŻYD: — Kogoż mam honor witać?

WITHOF: — Ja jestem Adam Withof.

PIEPRZNICKI: — A ja Dominik Pieprznicki.

ŻYD: — Jak? Przepraszam, bo nie dosłyszę.

WITHOF: — Withof Adam. Nazwisko wyborne dla interesu, jak i dla sławy, chociaż bez ski.

ŻYD: — Withof? A czyś waćpan szlachcic?

WITHOF: — Nie.

ŻYD: — Nie? Hm... proszę aspana, to źle. A jakże się kompan aspana nazywa?

PIEPRZNICKI: — Pieprz...nicki, cognominatus Suchoty dlatego, że je zawsze mam w kieszeni.

ŻYD: — To jeszcze gorzej... A skądże Bóg prowadzi?

WITHOF: — Z Lublina. Mój kompan, pan Pieprznicki jest deputatem miejskim i przyjechaliśmy obaj w deputacji upominać się o prawa mieszczańskie przed Sejmem Rzeczypospolitej.

ŻYD: — O prawa miejskie? Hm! Proszę ja aspanów, cóż to za prawa miejskie? Czegóż wy chcecie? Słyszałem ja coś o tym i podobno ksiądz referendarz Kołłontaj macza w tym ręce, ale to jest bardzo głupie. A czy aspanowie są Polaki?

WITHOF: — Tak jest, Polaki i katoliki.

ŻYD: — No, to napijcie się miodu. Nie wyrzucam was, jeśli godnie zapłacicie, ale uprzedzam, że tu do mnie schodzi się szlachta, i jak przyjdą, to wy braciszki fora ze dwora, bo was porąbią. Ja bym was nawet i nie bronił, bo na moją głowę, byłoby najlepiej, żeby Sejm kazał takich łyczków, jak wy, oddać straży marszałkowskiej i rózgami osiec, toby wam z głowy wywietrzały te nowinki farmazońskie. A czy aby pić umiecie?

PIEPRZNICKI: — Troszeczkę.

ŻYD: — Troszeczkę? No to nie wiele. Ja znam w Warszawie bogatego łyka mieszczanina Lancbarka. Ten pije jak gąbka. Znacie go?

WITHOF: — Znamy.

ŻYD: — To i dobrze. To jest łyk, ale pije lepiej od niejednego szlachcica. Zdrowie wasze.

WITHOF i PIEPRZNICKI: — Zdrowie twoje, Żydzie.

ŻYD: — Cienkusz trochę, ale nie idzie nic w głowę, jeno w nogi, nasze kawalerskie...

PIEPRZNICKI: — To ty żydzie jesteś kawaler?

ŻYD: — He! he! he! Kawaler.... kawaler.... To się tylko tak mówi. Kto by to się ustrzegł od żony, żeby mu kołków na głowie nie ciosała. W pańskie ręce! Jakto asanu? Panie Pieprznicki... psie nazwisko...

PIEPRZNICKI: — Nie psie, tylko mieszczańskie, ty parchu!

ŻYD: — To pan musi pieprz zawijać! Co? Ha! Ha! I od tego pana przezwali Pieprznicki. Pij pan do stu djabłów, bo szlachta nadejdzie i szlus.

(Tu drzwi się otwierają i wchodzi paru szlachty przy szablach. Mieszczanie wstają, płacą żydowi i chyłkiem wynoszą się z winiarni).

MORSZAŃSKI — (Siada z trzaskiem przy stole): Hej, miodu! Co ty żydzie jakichś łyków do traktjierni naszej wpuszczasz?

ŻYD: — Czołem, czołem mości panowie. Właśnie już ich odprawiłem.

MORSZYŃSKI: — Rozumiem... dobrześ zrobił... Bo ja bym im zaraz pamiątkę tu wypisał. Konstytucja im we łbie świta. Deputacje... paragrafy i wolności farmazońskie. Już to od czasu jak zaczęto na Sejmie spisywać te baranie rogi, które nazywają się paragrafami nowej jakiejś konstytucji, coraz gorzej się mąci w całej naszej Rzeczpospolitej i coraz więcej nietylko łyki, ale i chamstwo łby podnosi.

STEFAŃSKI: — My szlachta z wolnych stajemy się niewolnikami kawałka papieru. My, którzyśmy po dziadach i pradziadach prawem miecza odziedziczyli złotą wolność Rzeczpospolitej; a chamy, łyki, co i palcem nie ruszyli, aby granic Polski bronić i z mieczem w ręku iść na wroga, oni wolności naszej chcą dziś smakować...

MORSZAŃSKI: — Niedoczekanie. Nasz hetman, nigdy na to nie pozwoli. Hetman Branicki czuwa nad złotą wolnością naszą. Z nim idzie razem Szczęsny Potocki i Sewerym Rzewuski. a ci francuscy mądrale i zwłaszcza ten opiekun łyków i chamów ten ks. Kołłątaj, muszą się wraz z królem schować. My im pokażemy gdzie raki zimują! Stanisław August niech się lepiej zastanowi. A nie, to trzask prask: detronizacja, ogłoszenie bezkrólewia, szopa pod Wolą i będzie kwita. Gwarantka nasza imperatryca Katarzyna o nas przecież nie zapomni i nam zachować złotą wolność dopomoże.

STEFAŃSKI: — Jako żywo! Jako żywo!

(Tu drzwi się otwierają i wchodzi szlachcic Zawada i Warchoł i siadają w drugim kącie).

ZAWADA (do żyda): — Miodu!

ŻYD: — Zaraz, zaraz, już się robi. A z kimże imci pan Maciej w kompanii przyszedł, bo sobie nie przypominam.

ZAWADA: — Czołem bij żydzie, bo to wielmożny pan Jędrzej Warchoł, trybun przezacnego miasta Sandomierza, ale szlachcic z dziada, pradziada i mój wielce miłościwy kum, z którym razem pod Pułaskim wojowałem w Ameryce. Służyliśmy tam obaj w jednym szeregu i kochali się jak bracia. Kiedy zginął Kazimierz Pułaski, razem pod gradem kul przedzieraliśmy się przez wąwozy. Potem z Kościuszką znów chodziliśmy. Bóg poszczęścił... Ale obydwu było nam tęskno jednak za krajem. Powróciliśmy. On osiadł w Sandomierzu. Ja w Warszawie. I imaginuj sobie żydzie prawie już dwadzieścia lat nie widzieliśmy się, aż dopiero dzisiaj mój miłościwy kum, pan Jędrzej przypomniał mnie sobie i jak burza wraz z moją

chrześniaczką, a swoją jedynaczką córką przyjechał do mnie. Co za radość! Upiję się na jego zdrowie, jeżeli kiedy, to dzisiaj. Dawaj miodu, co najlepszego. (Śpiewa):

Każ przynieść miodu! Mój Jędrzeju miły!
Żeby się nasze smutki przemieniły!
Niech i Anulka siędzie między nami!
Kurdesz! Kurdesz nad Kurdeszami!

WARCHOŁ: — Ty się radujesz, a ja się smucę, bo żebym tylko na gościnę był przyjechał, ale wiesz przecie jaka mnie bieda przygnała.

ZAWADA: — Pluń na wszystko. Jużci gryzie to na wnętrzu, że przed takim łotrem, tym starostą sandomierskim musiałeś zmykać, aleś go nadziakiem w łeb choć zdzielił, że padł ci u nóg zamroczony, jak ten warchlak. Niechaj swej ręki po uczciwą szlachecką córkę w rozpuście swej tam nie sięga. Dzielnieś się spisał. Nie na darmo szablę nosisz przy boku. Nie bój się o córkę. Nie damy jej. Dawaj pyska. Pogadajmy lepiej teraz de publicis.

WARCHOŁ: — Co tu gadać. Moja rada zbierać się do kupy. Kupy się trzymać. A jak wypadnie, ławą jako jeden człowiek iść.

ZAWADA: — Mądre słowa rzekliście. Jeno, że my luzem zawdy chodzić wolimy. Każdy sobie rzepkę skrobie. Ot co. Przy butelce zgoda. A potem, ten Prusaka radby trzymać za połę. Drugi znowu do imperatrycy, do Stackelberga głos błagalny swój podnosi.

ŻYD:— Cichajcie panowie, bo tam hetmańscy siedzą.

ZAWADA: — A cóż nam zrobią. Niechaj siedzą sobie spokojnie, jako i my. Wolność Tomku w swoim domku!

POGORZELSKI (wchodzi i wita się z Zawadą i Warchołem): Czołem... Czołem, waćpanowie!

ZAWADA: — Franuś przyszedł! Czołem! Czołem! A nowiny... Jakie nowiny waćpan przynosisz?

POGORZELSKI: — Zaraz... zaraz... Trzeba po kolei czołobitność każdemu złożyć. Potem miodu się napić. Potem odsapnąć...

ZAWADA: — Potem może dać wam gitarę jeszcze do rąk, to zaśpiewacie. Siadajcie tu wedle mnie na ławie. Miejsca przestronno. Poznajomię was z druhem moim serdecznym i rycerzem barskim, sławnym Imci Panem Jędrzejem Warchołem, herbu Doliwa z Sandomierza.

POGORZELSKI: — Z Sandomierza? A więc prawie ze wsi. O rus! Quando te aspiciam.

ZAWADA: — Patrzcie! Już mu odbija się ta dawna szkolna łacina.

POGORZELSKI: — A tak. Bo widzisz asan, stara łacina, to jak stara słonina. Do nieskończoności siedzi w człowieku. (Śpiewa):

Gaudeamus igitur, juvenes dum sumus!
Post jucundam juventurem
Post molestam senectutem.
Nos habetit humus!
Nos habetit humus!
Vita nostra brevis est!

No! Ale witam Waści, Panie Warchole, herbu Doliwa. Zacny klejnot! Czołem Waści! Pozwól że na twoją cześć wypiję, a Ty potem mi dolejesz, boś Doliwa. (Bierze kufel i śpiewa):

Miły, miłą miłuje,
Chłop się temu dziwuje!
Dum bibo, wino, piwo —
Stat mihi kolano krzywo.
Res bona: nalej!
Melior: pij!
Optima: Wypij!

POGORZELSKI: — Jeżeli jednak zagadujecie mnie de publicis to wam powiem: Rura canamus, bo de publicis gadać dzisiaj niebezpiecznie!

WARCHOŁ: — Jakto niebezpiecznie? A dy trzeba właśnie de publicis gadać dzisiaj. Pamiętny rok 1772 i pierwszy w nim rozbiór Polski jak obuchem w głowę powalił cały naród polski na ziemię. Długośmy leżeli jak zamroczeni, ale teraz nareszcie jużeśmy się ocknęli. Sejmujące stany już czwarty rok zasiadają na ławach poselskich i radzą wedle ugruntowania szczęśliwości Rzeczpospolitej. Trzeba i nam o tym myśleć.

ZAWADA: — Wojska nam potrzeba ze sto tysięcy, żeby żadna ościenna potencja nie śmiała praw i granic naszych naruszyć. To grunt.

WARCHOŁ: — Ba... krom siły zbrojnej, trzeba by reform i porządku. Urodzajne ziemie nasze odłogiem leżą, bo naród jęczy w okowach poddaństwa, jak niewolnik. Mory, pożary, głód dziesiątkują ludzi, a panowie tylko się bawią i niezgodę w kraju sieją i nie wstydzą się nawet za pieniądze głosy swoje sprzedawać ościennym potencjom. Jeden chyba Ignacy Potocki, Małachowski, Matuszewicz i Niemcewicz oraz ks. Kołłątaj z burmistrzem Warszawy Dekertem zabiegają, aby naprawić prawa państwowe i ład nowy zaprowadzić. Król jest z nimi, ale się boi, trzeba mu dodać ducha...

ZAWADA: — Mości Panowie. Godzi się nam dziś wypić za zdrowie króla Jegomości Stanisława Augusta Poniatowskiego. Gorzkie ma życie. Słyszałem, że jednak piękny pomnik ufundował on w Łazienkach śp. królowi Janowi IIImu Sobieskiemu.

POGORZELSKI: — Nie neguję wypić zdrowia Najjaśniejszego Pana. Owszem pierwszy głośno wołam: Niech żyje król Jegomość, nasz pan najmiłościwszy! Jedno co się tyczy onego pomnika, o którym Waść napomykasz, to ośmielę się zapytać waściów, a czy panowie znają ten wierszyk o karuzelu urządzonym kosztem króla Jegomości na cześć Jana III.

WARCHOŁ: — Nie słyszałem.

POGORZELSKI: — Jeno nie obrażajcie się, waćpanowie, bo dobry żart tynfa wart...

ZAWADA: — To wiadomo. Gadajże waść.

POGORZELSKI: — Owóż tedy jakiś dowcipniś, pewno p. Węgierski, a może i Trembecki, chociaż jego nie posądzam, powiedział pono a propos tego pomnika:

Sto tysięcy kosztował...
Jabym dwieście łożył,
Żeby umarł Stanisław,
A Jan IIIci ożył...

WARCHOŁ: — A no może i racja, bo co Sobieski, to był Sobieski. Był to z całkiem innej mąki nietylko rycerz, lecz i bohater. Dziesiąte pokolenie tęsknić za nim będzie w Polsce. Ale i Stanisław August, miłościwie nam dziś panujący dosyć raźno chodzi koło oświecenia i podniesienia ludu. Uczonych wspiera, przemysł krajowy podnosi, handel dźwiga. Widać radby jak najlepiej. A że nie do szabli on stworzony, to już trudno. Nie każdego Pan Bóg do szabli stworzył.

ZAWADA: — Słusznie. Nie jednemu Pan Bóg wszystko daje.

POGORZELSKI (złośliwie): — Jednemu gęś, drugiemu jaje. Casus conscientiae.

WARCHOŁ: — A jeszcze innemu jeno skorupy po tym wszystkim się dostają. Żydzie, miodu, bo mi w gardle już wysycha.

POGORZELSKI: — Święta prawda. Miodu! In flagranti delicto jak to powiadał ks. definitor, kiedy mnie złapał, gdym kradł mu jabłka.

ŻYD: — Do usług waćpanów. Miodu? Już się robi.

WARCHOŁ: — Słyszałem, że jednak i Stanisław August wojska sprawia. Na jednego z brygadjerów powołał Król Jegomość Tadeusza Kościuszkę, który się okrył sławą w Ameryce.

POGORZELSKI: — Concedo majorem, a co do tej drugiej mniejszej premissy to powiadajcie tedy waćpanowie, boście byli w Ameryce w ekspedycji Pułaskiego, co wy wiecie o tym generale Kościuszce. Z tego com słyszał, mąż ten patrzy na wielkiego bohatera, właśnie takiego, jakiego Polsce teraz potrzeba.

(Tutaj od drugiego stołu wstaje i podchodzi Piotr Morszański, który przedtym bacznie tej rozmowie się przysłuchiwał. Z nim czyni to samo jego kolega).

MORSZAŃSKI: — Nie obrażajcie się waćpanowie. Prawicie tu i rozbieracie ciekawe materje. Czy można wprosić się do waćpanów kompanii. Hej, żydzie! Podaj tu i dla mnie miodu.

ZAWADA: — Przepraszam waćpana. Bez proszenia wprosiłeś się do kompanii. Ale kto z nami siedzi, ten nasz miód pije. Poznaj pana po cholewach!...

MORSZAŃSKI: — Święta prawda. Wybaczcie waćpanowie. Człek całe życie spędził na stepach ukraińskich, więc i o politycznych manierach zapomina. Jestem Piotr Morszański, chorąży pułku Czerkaskiego. Czołem ichmość panom...

WARCHOŁ: — Od tego trza było odrazu zacząć. Ale do rzeczy! Mówiliśmy o generale Kościuszko.

WSZYSCY: — Właśnie.

WARCHOŁ: — Otóż, mogę waćpanom powiedzieć, że brat mój, starszy wiekiem odemnie, chodził z nim do szkoły w Lubieszowie, a potym siedział z nim na jednej ławie w korpusie kadetów w Warszawie. Od najmłodszych lat zapowiadał on nietylko junaka, ale i męża nad wszelki podziw hartownego. Po całych nocach ślęczał nad książką. Ażeby zaś zwalczyć senność, pod stołem miał zawsze wanienkę z zimną wodą.

MORSZAŃSKI: — O wa! Co nam do tego, jak on tam sobie, jako żak szkolny suszył głowę nad Alwarem. Wiadomo student... młody... to głupi... Precz... Precz księgi wszelkie. Zapal fajkę... Staw butelkę... To mi jest życie...

POGORZELSKI: — Prawda i to! Co nam do książek. Niech ks. biskup Naruszewicz suszy sobie nad książką głowę.

MORSZAŃSKI: — Powiedzielibyście nam lepiej, jakimi przewagami zasłynął ten tam Kościuszko w życiu dojrzałym?

WARCHOŁ: — Wolnego... Mości chorąży. Do tego ja właśnie zmierzam.

MORSZAŃSKI: — Toż gadaj Waść.

WARCHOŁ: — Ady gadam. Powiedziałem tedy, że Kościuszko, jako student nadewszystko cenił obowiązek.

MORSZAŃSKI: — Wiemy już o tym... Słyszeliśmy... Z innej beczki zaczynajcie.

WARCHOŁ: — Będąc małym chłopcem widziałem i ja Kościuszkę, kiedy sprawiał szyki wyrostków studentów, niby prowadząc ich do boju. Szli zwalczać tyranów greckich, a na czele stał Kościuszko, udając owego sławnego Greka, któremu na imię było Tymoleon. Po wygranej bitwie zwrócił się do żołnierzy Kościuszko-Tymoleon i zawołał: Narodzie! Najszczęśliwszy jestem z ludzi, że mogę ci zwrócić wolność, nic z niej sobie nie biorąc. Kiedy to mówił, to łzy miał w oczach, a głos jego, jak spiż dzwonił, twarz zaś ogniem płoniała.

MORSZAŃSKI: — Et, zwykłe studenckie bujdy. Każdy z nas by to potrafił...

WARCHOŁ: (uderzając pięścią w stół): Ale nie każdy potrafiłby okopy sypać w obozie Waszyngtona, na co własnymi oczyma patrzyłem. Nie każdy z nas za męstwo nieustraszone dostał order Cincinnata i to z rąk obcych za oceanem. Nie każdy zdobył sobie w Ameryce tytuł generała wojsk amerykańskich. Nie każdy w imię wolności krew przelewał w Ameryce i zasłużył tam na imię bohatera.

MORSZAŃSKI: —Dziw, że o tym jakoś głucho u nas w Polsce. Natomiast u nas słyszeliśmy tylko o tym, że ten wasz Kościuszko z zalecankami chodził do córki hetmana Sosnowskiego, i że zachciało mu się tam, jak psu kiełbasy, za co też sprawiedliwie batożkami mu podobno hajdawerki przetrzepano.

WARCHOŁ: — Łżesz jak pies i musisz pod ławą to odszczekać! (uderza pięścią w stół).

MORSZAŃSKI (wstając): — Mości panowie! Mościwi moi kamraci, biorę was na świadki, że imci pan Jędrzej Warchoł zwady szuka.

WARCHOŁ: Waćpan tu burdy wszczynasz i po to żeś tu naszedł naszą kompanię bez proszenia. Odsuńcie się waćpanowie. Proszę w taniec. To nie w stepie między Tatarami. Pokaże się tu, kto krzyw, a kto praw. (Wszyscy starają się sprawę załagodzić, ale obaj zapaśnicy dobywają szabli i zaczynają się bić. Po chwili Jędrzej Warchoł, cięty przez głowę pada ze słowami: Jezus, Maria — a Morszański ociera skrwawioną szablę połą kontusza i woła do szlachty).

MORSZAŃSKI: — Chodźmy pić, bom się rozgrzał. — Niech pamiętają hetmańskich Ksawerego Branickiego i nie bredzą o Kościuszce. (Kurtyna spada).

AKT II.

(Mieszkanie Zawady).

POGORZELSKI: — Ale z waćpana twardy człowiek. Inny po takim rozpłataniu mu głowy, napewnoby się już nie wylizał, a waszeć znowu gotów, jak do tańca. Hartowny duch, mocne ciało.

WARCHOŁ: — Żołnierz jestem, przywykły do takich przysmaków. Ciężko mi tylko, że się Zawada tak natrapił, a i dziewczynisko moje ledwo duszy ze zmartwienia nie wyzionęło. Co się oni natrapili... Zawada sobie włosy z głowy wyrywał, bo to mówił, jego wina, że mnie tam do tej jaskini zbójców zaprowadził i pozwolił tak posiekać. A to wszystko przez napitki. Ślubował sobie, że kropli wina do ust nie weźmie, póki ja nie wydobrzeję... Dzięki Bogu! Skończyło się

jednak wszystko dobrze, nawet lepiej niż myślałem, bo przez ten mój przypadek miałem szczęście, że nietylko p. Dekert, prezydent miasta, ale i sam p. generał Kościuszko mnie nawiedził.

POGORZELSKI: — Nie może być! Powiadajcie jak to było.

WARCHOŁ: — Jak tu siedzę. Dowiedział się zacny p. Dekert o mojej przygodzie, że mnie hetmańscy posiekli i przyszedł do mnie we własnej osobie, ażeby mi złożyć swoją kondolencję. Czym dla lampy oliwa, tym dla mnie były odwiedziny prezydenta Dekerta. Wlał mi do duszy jakby balsam. A cóż dopiero kiedy w kilka dni potym drzwi się otwarły i sam p. generał Kościuszko mnie też nawiedził. Spotkał go Zawada w kościele u Fary po prymarji i zaraz poznał. Do usług pana generała mówi — a generał Kościuszko jak tylko spojrzał, jeno się uśmiechnął i powiada: Zawada. Toć ja cię z Trenton jeszcze pamiętam. Pamiętam tę wieczerzę wigilijną u Pułaskiego, coście to razem na niej z Warchołem nam traktament staropolski przyrządzali. Pamiętam później, jakieście to mnie na tej tam górze, co się głową cukru nazywa, ratowali, gdy mi w bitwie koń mój upadł. Ciekawym co się dzieje z Warchołem, bo to pamiętasz, jak się chłopisko zakochało w tej pięknej Amerykance Miss Raney, która nas przez ów niedostępny przekop Entow Springs przeprowadziła... Żyje... żyje... generale — mówi Zawada. Ożenił się z tą panną Raney zaraz po wojnie, zabrał ze sobą, wrócił do Polski, ale nieboga już mu pomarła, a oto właśnie ta dziewka to jest córka Warchoła i nieboszczki jego żony. Córka Miss Raney? — przyjrzę. A gdzie jest Warchoł? Warchoł jest u mnie, ale słabuję, bo go hetmańscy posiekali, kiedy się właśnie w obronie czci pana generała im postawił. Nie może być! A toż chodźmy — mówi generał — niech go zobaczę i podziękuję. No i przyszedł tutaj do mnie zaraz z Zawadą, Myślałem, że się chyba niebo tu rozstąpiło, gdym go zobaczył.

POGORZELSKI: — A to się Waćpan tak nigdy w życiu chyba nie ucieszył. Winszuję Waćpanowi, bo to nietylko że się już rany mu pogoiły, ale i stare oczy swoim Kościuszką uradowały.

JAGNA (wchodzi ze Stachem): — Tatulu! Stach chce koniecznie, żebym z nim poszła przypatrzeć się paradzie, kiedy król będzie jechał z Łazienek na sejm do zamku.

STACH: — Panie Jędrzeju, a dy pozwólcie. Tłok będzie duży, ale dyć mocne przecie mam łokcie. Przepchnę się łatwo, a i Jagienki w tłoku nie zgubię...

WARCHOŁ: — Idźcie! Idźcie! Próżnoby było was i uwiązać, żebyście się dzisiaj, razem tam nie wymknęli. (Jagna ze Stachem wychodzą z radością).

POGORZELSKI: — Cudnej się dziewki dochowaliście, ale pewnikiem porwie ją za mąż wam ten Stach Zawada, bo widzę, oboje mają się ku sobie.

WARCHOŁ: — A niech się mają. Nie będę bronił. Chłopak jak świeca i syn to przecież mojego najserdeczniejszego przyjaciela Macieja Zawady, z którym beczkę soli zjadłem i za morzem pod Pułaskim i Kościuszką wojowałem. Czy mógłbym znaleźć dla mej jedynaczki lepszego męża? Toż on do tańca i do różańca, bo i szablą umie machać i na jurystę się wykierował, bo już od paru lat pracuje w kancelarii ks. referendarza Kołłątaja. Niechaj się biorą.

POGORZELSKI: — Juścić tak będzie, jeno co powie na to ten starosta Sandomierski, co to na Jagnę zaginał parol, że aż w nocy z Sandomierza musiałeś waćpan z dziewczyną uciekać do Warszawy.

WARCHOŁ: — Co powie starosta? A to waćpan nie słyszałeś, jak staroście rura zmiękła?

POGORZELSKI: — Jako żywo nie słyszałem. Powiadajcie.

WARCHOŁ: — Tak... Tak... Fortuna kołem się nieraz toczy. I pan starosta i ten mój agresor, co mnie porąbał, Chorąży Morszański cienko teraz przędą... Morszański zadarł gdzieś pod wiechą z hajdamakami Szczęsnego Potockiego i porąbali go na sieczkę. W dodatku jeszcze, aby uspokoić tumult nadbiegła straż marszałkowska z oddziałem kawalerji narodowej. Morszański, zaufany w potędze Branickiego i Stakelberga, rzucił się po pijanemu w pogoni za hajdamakami i na marszałkowskich, jednego postrzelił, drugiego zranił, ale wnet go rozbroili, spętali ręce i nogi łańcuszkami, i teraz gnije sobie w ciemnicy. Nawet Branicki o nim zapomniał, dość ma go widać.

POGORZELSKI: — A co się stało z panem starostą?

WARCHOŁ: — Z panem starostą też nie najlepiej. Opowiadał mi Zawada, że na Powiślu złapano szpiega moskiew-

skiego, którego rozwścieczony tłum rozerwał na kawały i imaginuj sobie waszmość znaleziono przy nim list jednego ze stronników moskiewskich do ambasadora Stakelberga. W liście tym donoszono do Stakelberga, że gotuje się przewrót w sejmie, i że na czele przewrotu stoją Adam Czartoryski, Stanisław Małachowski, a przedewszystkim ks. referendarz Hugo Kołłątaj, i że jedynie wiernymi dla imperatrycy pozostają Szczęsny Potocki, Ksawery Branicki i Seweryn Rzewuski. Była tam też szczegółowa lista stronników Moskwy, którzy żądają większego wynagrodzenia za swoją służbę dla imperatrycy, a na tej liście, obok wojewody witebskiego Kossakowskiego, wojewody mazowieckiego Małachowskiego, marszałka Piotra Ozarowskiego, generała Kurdwanowskiego i innych, był i starosta sandomierski. Napisane było tam nawet o nim, że to człowiek nienasycony, że trzeba było mu dużo płacić, bo bardzo kosztowny, zgrywa się w karty, rzuca pieniędzmi na swe kochanki i jest w długach. List ten opatrzony pieczęciami dostał się w ręce ks. Kołłątaja i teraz całe stronnictwo moskiewskie przycichło, bo się opublikowania tego listu ogromnie boi. Przycichł też i pan starosta, bo sam Stakelberg podobno mu nawymyślał, a książę prymas aż się pienił, że go starosta kompromituje...

POGORZELSKI: — Cuda... Cudeńka mi powiadacie. Czy aby to wszystko prawda?

WARCHOŁ: — Głowy swojej dziś za to nie łożę. Ale Zawada mi o tym mówił, a on miał słyszeć od samego Dekerta. To samo zresztą mówił i Stach, a on przecie pracuje w kancelarji ks. referendarza i słyszy nieraz tam różne wieści, o których ludzie zwykli nie wiedzą.

POGORZELSKI: — Dziwy... dziwy... lecz to się może niezawodnie odbić teraz i na sejmie.

WARCHOŁ: — Już się odbija, bo przecież wróble na dachu wiedzą, że patrioci postanowili przyspieszyć uchwalenie nowej konstytucji i król jegomość pono się zgadza.

ZAWADA: (Wpada do izby, zziajany). — Nowiny... Wielkie nowiny... Powinszujmy sobie wszyscy. Jędrzej, dajże gęby... Niech cię uściskam. Cud się stał wielki. Konstytucja właśnie przed chwilą w sejmie dopiero co uchwalona. Biegłem tu kłusem, by ci powiedzieć. (Wszyscy zrywają się, całują się i dopytują).

WARCHOŁ: — Opowiadajże na Boga! Jak to się stało?

ZAWADA: — Ano stało się. Otwórzcie okna! Słuchajcie ino, jak dzwony grają. Opowiem wam wszystko zaraz, tylko dajcie mi z pół garnca miodu, bom spragniony. Język jak podeszwa zesechł mi w gardle.

POGORZELSKI: — Mądre słowa rzekliście... Wypijmy wszyscy na zdrowie króla i narodu i całej Polski. Ale na Boga! Jakże to było? Opowiadajcie.

ZAWADA: — Już opowiadam. Widziałem wszystko. Byłem w izbie sejmowej na galerji, jako arbiter.

POGORZELSKI: — To i króla widzieliście?

ZAWADA: — Jako Was widzę.

WARCHOŁ: — Powiadajcie już raz tedy, co i jak było.

ZAWADA: — Już opowiadam. Jenc dajcie jeszcze miodu. Uf! alem się zziajał, jak nigdy. Słuchajcie tedy. Siejba rzucona przez Dekerta zaczęła kiełkować i rozkwitła bujnym kwieciem dopiero dzisiaj po jego śmierci. Sejmujące Stany Rzeczypospolitej wcieliły w życie dziś jego dzieło, ażeby zgładzić wiekową krzywdę, wyrządzoną stanowi miejskiemu i kmiecemu przez swawolę szlachty i magnatów. Ksawery Branicki, Szczęsny Potocki, Seweryn Rzewuski, całe gniazdo Kossakowskich musieli dzisiaj skłonić głowę przed majestatem Rzeczypospolitej, która nareszcie konstytucję sprawiedliwą nietylko dla szlachty, ale i dla całego narodu, dla wszystkich stanów uchwaliła. Prawdziwi patrioci: Stanisław Małachowski, Ignacy Potocki i ks. Hugo Kołłątaj zwyciężyli. Kiedy w kilka minut po jedenastej wszedł na salę sejmową król Stanisław August w mundurze korpusu kadetów, odrazu widać było, że to będzie dzień historyczny.

Marszałek koronny Mniszek uderzył trzykrotnie laską. W jednej chwili nastała uroczysta cisza.

Marszałek sejmowy Stanisław Małachowski zagaił posiedzenie. Zaledwie skończył, w całej sali rozległy się wołania o głos. Pierwszy otrzymał głos poseł krakowski Stanisław Sołtyk, prawdziwy patriota.

Koledzy, wołał, nie użyjecież najskuteczniejszych, a zarazem najprędszych środków do ratowania ojczyzny. Oto ostatnia dla nas może dzisiaj chwila.

Zerwał się Sucharzewski, poseł Kaliski i zaczął wrzeszczyć. Ale marszałkowie uspokoili izbę, a marszałek wielki koronny oznajmił, że król chce mówić.

W sali zrobiło się cicho, jakby makiem posypał. Stanisław August przychylając się do prośby Sołtyka wezwał marszałka Małachowskiego, aby zarządził odczytanie tajnych raportów o grożącym Polsce niebezpieczeństwie nowego rozbioru.

Prosimy... prosimy... wołają natychmiast na to patrjoci. Zrywa się znów Sucharzewski. Zaczyna wrzeszczyć, jak opętany, że ukuto spisek na złotą wolność szlachecką.

Publiczność śmiechem przerywa mowę tego moskiewskiego szampiona. Z kolei zabiera głos członek deputacji do spraw zagranicznych Tadeusz Matuszewski.

Zapada głuche i poważne milczenie. Powstaje marszałek Ignacy Potocki i uroczyście zwraca się do króla, aby wskazał środki ratunku.

Król wzruszony wśród wielkiej ciszy oświadczył, że jest projekt i wniósł, aby go odczytać.

Sekretarz sejmowy p. Siarczyński odczytał projekt, nowej konstytucji. Sala poselska zahuczała od okrzyków. Zgoda... zgoda... Sucharzewski porwał na ręce kilkuletniego swego synka, i zaczął wołać, że go zabije razem z sobą, aby nie dożyć hańby utraty złotej wolności swojej. Powstała piekielna wrzawa, czyniona przez stronników Moskwy. Ale patrioci nie ustąpili, domagając się od Marszałka, aby zarządził głosowanie.

Król porwany uniesieniem znów zabiera głos i oświadcza, że kto kocha ojczyznę, ten powinien oświadczyć się za nową konstytucją.

Marszałek Małachowski, idzie za radą ks. Kołłątaja, i zarządza, aby ci, co są za nową konstytucją wyrazili swą zgodę milczeniem, a ci co przeciw, złożyli imienne oświadczenia.

Efekt tego zarządzenia był nadzwyczajny. Głucha cisza zaległa salę. Stronnicy Moskwy przerażeni, naradzają się po cichu. Wreszcie żądają, ażeby projekt jeszcze raz przeczytać. Ale patrjoci nie dopuszczają. Powstaje znów straszliwa wrzawa, gdy w tem poseł inflancki Michał Zabiełło wstrząsającym głosem zawołał, aby król natychmiast zaprzysiągł Konstytucję, a za jego przykładem pójdą wszyscy. Biskup krakowski Feliks Turski przystępuje do króla z ewangelją w ręku.

Nastaje cisza. Król zaprzysięga. A kiedy skończył wybuchł na sali taki entuzjazm, że najzaciętsi stronnicy Moskwy musieli dać za wygranę.

Sejm w procesji za królem ruszył zaraz do katedry na "Te Deum Laudamus". Mieszczanie porwali na ręce marszałków sejmu i nieśli ich w triumfie.

Jam się z tłoku ledwie wyrwał i przybiegłem na gwałt do was by zwiastować wam nowinę. Dajcie mi miodu! (Drzwi się z łoskotem otwierają. Wpada Stach z Jagną).

JAGNA: — Tatulu... Tatulu... Nowa konstytucja uchwalona. Wielkie święto narodowe w całej Warszawie. (Warchoł całuje córkę).

STACH: — Panie Jędrzeju... Bo nie wytrzymam. Konstytucja uchwalona. Król z narodem. Naród z królem. Moskwa się wścieka. Ale my górą. Tak się raduję! Tak się raduję, że już nie wiem co powiedzieć!

POGORZELSKI: — E... wiesz ty bratku, co powiedzieć. Nie zawracaj kontrafałdy. Rzuć się z Jagną na kolana przed panem Warchołem i rżnij po prostu, po staropolsku: Tatulu, ja kocham Jagnę, dajże mi ją dziś za żonę.

ZAWADA: — A wiesz Jędruś , że i prawda, kiedy radość, to niech będzie na całego. Dzieciaczyska się kochają, to niechże się i pobierą.

WARCHOŁ: — Macie rację. Niech Bóg im błogosławi, niechajże się i pobierą na pamiątkę tej dzisiejszej konstytucji 3go Maja. Niech żyje Polska! i zaśpiewajmy sobie wszyscy z tej radości "Witaj Majowa Jutrzenko"... (Śpiewają).

Kurtyna spada.

10,-